

Na całym świecie problem młodzieży jest od dawna ostrym i złożonym problemem. Poświęcono mu setki studiów naukowych; literatura i film eksponowały niepokojącą odrębność młodzieżowego stylu życia, brutalną gwałtowność młodzieżowego „gniewu” lub szeroki zasięg młodzieżowego „buntu”. Publicystyka różnych orientacji biła na alarm, ukazując zagubienie młodzieży w tym trudnym świecie, jej znudzenie jałowością istnienia, jej cynizm i obojętność na wszystko. Niektórzy dostrzegali wprawdzie, pod maską prowokacyjnych zachowań, zawiedzione, lecz żywe potrzeby społeczne, a pod maską drwiny — wstydlivość uczuć głęboko osobistych. Ale — w końcu — nikt nie wiedział naprawdę, jak to jest z tą młodzieżą atomowej epoki, która była równocześnie epoką jazzu, big-beatu i piosenki.

Myśleliśmy, iż socjalistyczne warunki życia w Polsce uchroniły nas od tej młodzieżowej problematyki i — zwłaszcza w latach ostatnich — wierzyliśmy, iż swoisty problem młodzieży u nas właściwie nie istnieje. Istniał wprawdzie jakiś niepokojący margines, zwany chuligaństwem, ale na ogół sądzono, iż dom, szkoła i organizacje młodzieżowe zapewniają zgodnie i skutecznie wiedzę i wychowanie całemu młodemu pokoleniu. Wydawało się ono dość pilne i posłuszne, dostatecznie umiejętne w przystosowaniu się do postulatów „małej stabilizacji”. Rzadko zastanawiano się nad tym, czy taki utylitarny program wychowania wystarcza, czy proste informacje o pożytecznej taktyce działania społeczno-politycznego mają zaspokoić potrzeby światopoglądowe i ideologiczne młodzieży akademickiej.

Ostatnie wydarzenia na wyższych uczelniach ukazały społeczeństwu problem młodzieży w nowych wymiarach. Dotychczasowa ich analiza odsłoniła niektóre ich źródła i mechanizmy polityczne; w przyszłości ukaże nam ona zapewne jeszcze inne czynniki, dziś niejasne lub niewiadome. Ale jak była możliwa ta polityczna aktywizacja? O

szkiej ojczyzny, akceptacją odpowiadającą określonej jej etapowi oraz nowym i własnym doświadczeniom młodzieży.

Ta młodzież jest patriotyczna i socjalistyczna zarazem. Ale ponieważ jej doświadczenia są inne niż doświadczenia starszego pokolenia, przeto problemy teraźniejszości i perspektywy przyszłości

było i jest rzeczywistością tworzoną w trudzie, w walce, w konfliktach, w wyrzeczeniach, było i jest dla tej młodzieży rzeczywistością zrozumiałą samo przez się, nie wymagającą ani uzasadnień, ani porównań, odnoszących ją do tego, co istniało niegdyś.

Startując z tego stanu osiągniętego, młodzież akademicka jest zainteresowana

Musimy też zdawać sobie sprawę z faktu, iż proces intelektualnego i społecznego dojrzenia młodzieży akademickiej przypadła na okres, w którym w międzynarodowym ruchu komunistycznym powstało wiele różnic — i to nie tylko w dziedzinie taktyki politycznego działania, ale również i w dziedzinie ideologii, ponieważ zasadnicze wizje społeczeństwa socjalistycznego okazały się dość różne w różnych krajach naszego obozu.

Nie można się dziwić, iż w tej sytuacji wzrastała doniosłość podstawowej problematyki ideologicznej. Można było — w rozmowach z młodzieżą — obserwować już od dłuższego czasu, jak się dokonywa jej aktywizacja polityczna i jak wzrasta poczucie doniosłości takich pytań i takich refleksji.

Oczywiście, różne ośrodki pozaakademickie wykorzystywały tę sytuację, aby wciągnąć młodzież studencką do akcji odpowiadającej ich interesom. Ale działalność ta była ułatwiona właśnie przez to, iż problematyka nurtująca młodzież akademicką od lat nie była podejmowana w sposób wystarczająco pogłębiony i odważny ani przez uczelnie, ani przez organizacje młodzieży. Sygnalizowano wprawdzie wielokrotnie, iż osłabienie procesów autentycznego wychowania ideologicznego grozi tym, iż młodzież akademicka, nie otrzymując odpowiedzi na swe pytania, szukać ich będzie gdziekolwiek lub też wybierać będzie oportunistyczną drogę obojętności politycznej — ale niestety, sygnały takie miały bez konsekwencji. Zbieramy teraz owoce tych zaniedbań.

Jednak oceniając sytuację z całą rozważą i spokojem, nie powinniśmy ulegać ani sugestiom oskarżania czy potępiania całej młodzieży — sugestie takie wyrażają interesy tych, którzy chcieliby przeciwstawić młode pokolenie dobru narodu i jego przyszłości — ani próbom a-

Bogdan Suchodolski

Jest taka młodzież

czym świadczy jej intensywność i jej zasięg? Co się dzieje w świadomości szerokich kół młodzieży akademickiej? Jak się kształtuje jej postawa? Co — jako wychowawcy młodego pokolenia — powinniśmy czynić w tej sytuacji?

Sądzić, iż w tych wydarzeniach ujawniły się antysocjalistyczne przekonania młodzieży akademickiej — byłoby nie tylko wielkim błędem i fałszywym, krzywdzącym oskarżeniem; byłoby również aktem zwątpienia w siłę tych procesów socjalistycznego budownictwa, które kształtowały w naszym kraju ludzi od ich dzieciństwa; byłoby wręcz katastroficzną wizją przyszłości, skoro tworzyć ją będzie ta właśnie młodzież.

Na szczęście nic nie upoważnia nas do takiej diagnozy. Polityczna aktywizacja młodego pokolenia nie jest wcale świadectwem obudzonej niechęci do socjalizmu; jako zjawisko masowe jest akceptacją socjalistycznej drogi na-

kształtują się w jej świadomości pod pewnymi względami inaczej niż w naszej.

Ta młodzież akademicka urodziła się i wychowała już w Polsce Ludowej. O Polsce międzywojennej uczyła się w szkole, podczas, gdy dla nas była to rzeczywistość naszego życia, do której wciąż odnosimy porównania współczesnych osiągnięć; o wojnie i okupacji młodzież ta wie z opowiadań, z tradycji żywej, z literatury i filmu; dla nas były to czasy wielkie i trudne, czasy działań, które w znacznym stopniu wyznaczyły dalszy bieg naszego życia.

Ta młodzież nie znała pierwszych lat budowania nowego ustroju, obce jej były spory polityczne tego okresu, nieznanne konflikty „popiołu i diamentu”. Polski październik wydarzył się w jej latach dziecięcych, a gorzkie rozczarowania czasów likwidujących epokę „błędów i wypaczeń” były jej oszczędzone...

To, co dla pokolenia ojców

dalszymi perspektywami rozwoju i postępu Polski Ludowej. Uznając i akceptując osiągnięcia, pyta o dalsze zadania, o dalszy program działania. Oczywiście, w pewnych ogólnych zarysach, jest on ustalony w oficjalnych dokumentach, ale to, co interesuje młodzież, wiąże się z wielorakimi pytaniami, dotyczącymi założeń tych planów oraz sposobów i tempa ich realizacji. Są to pytania, dotyczące unowocześnienia organizacji i metod zarządzania gospodarką, sposobów szybszego wdrażania osiągnięć nauki i techniki do produkcji, zasad podziału dochodu narodowego oraz systemu płac i wynagrodzeń, polityki w zakresie stratyfikacji społecznej, problemów bodźców i sposobów oddziaływania na nie, form demokratyzacji i decentralizacji, metod i treści samorządu, zasad polityki kulturalnej i oświatowej. Są to również pytania, dotyczące wielu konkretnych spraw życia publicznego, trudnych i dyskusyjnych, wielu problemów moralnych i patriotycznych dotyczących także i stylu życia.

U podstaw tych pytań znajdują się najbardziej zasadnicze kwestie ideologiczne, kwestie tego modelu socjalistycznego społeczeństwa, które chcemy tworzyć i rozwijać w naszym kraju.

CIĄG DALSZY NA STR. 8

DWA POKOLENIA



Wojciech Kawiński

Pismo

Próbować —

aż się rozsypie krucha wieża
wymierzona w jedną
stronę świata

Przesypywać —

gorzkie ziarenka piasku

Tłumaczyć

przyływ i odpływ
jak pustą wróżbę obłoków

I na kamieniu powietrza

pisać to wierne epitafium
nie czując pod piórem
popiołu

Pantelejmon Jurjew

Zagadka „Menologu Supraślskiego”



Ostatnio ukazywało się na szpaltach naszych dzienników sporo materiałów dotyczących powrotu do Polski jednego z najstarszych pomników piśmiennictwa starosłowińskiego — tak zwanego „Menologu Supraślskiego”, zwanego również w literaturze naukowej „kodeksem ze Supraśla”.

„Menolog Supraślski” odnaleziony w ubiegłym stuleciu w Supraślu, w zbiorach bibliotecznych klasztoru Zwiastowania Marii Panny

o dużym znaczeniu źródłowym.

Słynny „Menolog Supraślski” przechodził dość niezwykle koleje losu. Znalaziony przez Bobrowskiego, zainteresował najwybitniejszych sławistów. Bobrowski udając się do Watykanu zabrał rękopis „Menologu” ze sobą pragnąc zademonstrować tak niezwykle cenny dokument starosłowiński oraz spowodować ewentualne ogłoszenie go drukiem. Za granicą Bobrowski przekazał oryginał

daje obecnie prasa, po dziś znajduje się tam w zbiorach biblioteki uczelnianej.

„Menolog” jednak nie doczekał się ukazania drukiem ani za życia Kopitara, ani za życia samego Bobrowskiego. Został po raz pierwszy ogłoszony dopiero w 1851 roku.

Michał Bobrowski zmarł w latach „Wiosny Ludów”. Pozostały w jego zbiorach oryginalny „Menologu”, z niewiadomych powodów został przez spadkobierców podzielony na części.

Część większa przeszła w posiadanie biblioteki Ordynacji Zamojskich w Warszawie. Zaginiona podczas wojny wraca obecnie do kraju odnaleziona w tajemniczy sposób w Stanach Zjednoczonych i zakupiona tam za 25 000 dolarów. Mniejsza część trafiła do zbiorów Biblioteki Publicznej w Petersburgu — obecnie Leningradzka Biblioteka im. Sałtykowa-Szczedrina.

Trzecia część znajdowała się przed pierwszą wojną światową... równie jak i pierwsza, w Polsce! Rękopis był wówczas przechowywany w zbiorach bibliotecznych Liceum Lubelskiego. Świadczy o tym na łamach „Wielkiej Encyklopedii” znakomity sławista rosyjski, prof. A. K. Borozdin.

O losach tej trzeciej części „Menologu” po drugiej wojnie światowej nic nie było wiadomo. Bardzo jednak możliwe, że ten cenny rękopis, zapomniany przez wszystkich leży gdzieś w Lublinie zawalony stosem książek z byłej biblioteki licealnej.

Warto byłoby rozpocząć poszukiwania idąc tym śladem. Może wtedy zagadka trzeciej części „Menologu” zostałaby wyjaśniona?

ОТЪ ГРИНТИ. НЕНЧЕТКОР. АХЖ. АСОС. АМН
 АБННІІНОШТНІ. НЕНЕШАННННШ
 ЗВ. РИЕТНІ. НКІЗКАШТЕНОВЪІСТЪА
 УРНАНІАНОУОТЪПРНСТАКЪЕНЪІНХЪВО
 ННЪКЪСЕТОВЪІВЪШЕІ. НОУСАШІШАКЪРЕ
 УЕ. (У)ЗЛОУКЕТЪНОЕКЪШЕННІ. РОААКРІІІ
 ННІСІА. НІКОННОУМЕРЪІШЪІНХЪКЛОГОХЪ
 НОВЪА. НТН. НПОСЪААКЪОТЪКЪА. ЕСІГР. А
 ГЖШТААВОНЪІНЪІНШТНІЖ. СК. АТОУЖЕ
 БЪІВЪШОУ. НІШЕАШЕІЕРІСТНІАНН
 БЪЗАШАП. АЕС. АСТОУЮ. НПОІРЕВОША.
 МНРІА. АСЪРАЛОСТНІЖ. ЧЪСАР. АЕТРОУІЖ
 ШТОУГОУНАШЕМУІСХСОУ. СІІІМЪЖЕ
 ОТЪОУСААЪА. ІСОУПНОУОТЪІНІАА. АХІІ
 НЪІНІА. НПРНСНОІВЪА. АІКЪІВЪІКОМІААІ

przez profesora Michała Bobrowskiego, jest jednym z najdawniejszych pomników języka starosłowińskiego, powstałych na terenie Polski. Zawiera on poza właściwym „menologiem” — opisem życia świętych kościoła wschodniego — „Dwudziestolów” — Jana Złotoustego, „Słowo Epifaniasza cypryjskiego” oraz „Słowo patriarchy Fotiusza”. Różnorodna treść menologu zawiera prawdziwe bogactwo niemniej różnorodnych form językowych, charakterystycznych dla języka starosłowińskiego używanego w wieku X na pograniczu polsko-litewskim oraz litewsko-białoruskim.

Michał Bobrowski był słynnym i szeroko znanym badaczem rękopisów starosłowińskich. Był również autorem „Opisu naukowego ksiąg rękopiśmiennych znajdujących się w zbiorach biblioteki watykańskiej”. Jako stały współpracownik „Dziennika Wileńskiego” ogłosił na jego łamach sporo artykułów

rękopisu znanemu uczonemu Bartolomeuszowi Kopitarowi, mieszkającemu w Lublanie. Kopitar gorliwie zajął się sporządzeniem dokładnego odpisu „Menologu” z zachowaniem rysunku każdej litery, każdego znaku. Gdy Bobrowski wracał do kraju ponownie wstąpił do Kopitara, który przekazał oryginalny rękopis Bobrowskiemu. Odpis został w Lublanie, i jak po-

Jan Grygiel

Koncert na głos ludzki

„Koncert na elektrony” jest dziesiątym z kolei zbiorem reportaży Jerzego Lovella. Ale żadna z dotychczasowych książek nie przyniosła mu takiej popularności i nie wywołała tylu dyskusji, jak ta ostatnia, mimo iż w dotychczasowych swoich reportażach podejmował również drastyczne i typowe problemy naszego czasu. Ten nieoczekiwany rozgłos koncertów pochodzi stąd, iż reporter dotknął w nich strun o bardzo głośnym rezonansie, strun, na których dźwięk prawie nikt nie może pozostać obojętny. Ogólnie mówiąc, reportaże Lovella ukazują konflikt postaw między młodzieżą a pokoleniem ich rodziców, analizują przyczyny zrywania się więzi uczuciowych i nici porozumienia między ojcami a synami, próbują dotrzeć do źródeł kryzysu wartości w świecie młodych. Trafiają więc w samo sedno spraw narzmiatych i obolałych, które wielu rodzicom spędzają sen z powiek. Reporter ma odwagę pisać o młodzieży z pozycji starszego pana, co oczywiście nie oznacza, iż nie chce jej zrozumieć — i proponować metody wychowawcze na ogół niepopularne.

„Koncert na elektrony” jest ogłoszeniem alertu i próbą znalezienia dość drastycznych środków, które mogłyby zapobiec kryzysowi.

zwłaszcza, gdy wybór okazał się nietrafny, jak w „Koncercie na viola d'amore”. Wierzy się często nieoczekiwane na pozór i zagadkowe odkręcanie kurka od gazu — tragiczna i bezsensowna śmierć młodych u progu życia.

Obraz świata sfrustrowanej młodzieży, zagubionych we współczesności nastolatków byłby zbyt pesymistyczny, gdyby nie to, iż znalazł się w książce także „Koncert na głos ludzki”. Jest to opowieść o młodym lekarzu z Jasła, doktorze Lukaczu, który zginął w trakcie pełnienia swojego obowiązku zawodowego. Okazuje się, iż istnieją u naszych młodych ludzi również postawy heroiczne, że istnieją wzorce moralne i bohaterowie godni naśladowania nie tylko w utworach literackich. W okresie małej stabilizacji postawa heroiczna jest czymś zaskakującym, lecz skutecznie obala argumenty o bez-



ideowości i pustce wewnętrznej młodzieży. Chodzi jednak o to, by młodzi szukali heroizmu nie wbrew nam, lecz razem z nami.

Z książki Jerzego Lovella wylania się świat współczesny w całym swoim skomplikowaniu, z wszystkimi fobiami, stressami i niepokojami. Świat oglądany od strony „podstawowej komórki społecznej” — rodziny. Ze wszystkich koncertów autora wynika niewątpliwie wniosek — od kształtu współczesnej rodziny, od jej zwartości i spójności zależy kształt całego społeczeństwa i postawa młodego pokolenia. I nie o to chodzi, czy wszystkie środki i propozycje postulowane przez Lovella są do przyjęcia, czy okazały się panaceum na wszystkie dolegliwości społeczne. Ważne jest to, iż pisarz dostrzegł i analitycznie opisał objawy kryzysu w świecie młodych.

„Koncert na elektrony” jest pasjonującą lekturą. Jak przystało na wirtuozą-soliste, Lovell w swych koncertach wykazał znakomitą biegłość techniczną, urodę stylu, nie-naganną choć wyszukaną konstrukcję. Potwierdził swą książką opinię jednego z najwybitniejszych reportażyistów w Polsce. A charakterystyczna u niego skłonność do nieco barokowej ornamentyki, do wyszukanych konceptów i pomysłów formalnych dodaje uroku „Koncercowi na elektrony”.

Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich

W dniach 10-14 września br. odbędzie się w Zakopanem I Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich. Impreza ta połączona zostanie z tradycyjną już „Jesinią Tatrzańską”, która rozpoczyna się 7 września.

W festiwalu, obok 8 regionalnych zespołów pieśni i tańca z Polski (z Tatr, Karpat i Bieszczadów), wystąpi kilkanaście zespołów zagranicznych, m. in. z Bułgarii, CSRS, Francji, Jugosławii, Rumunii, Szkocji, Włoch, ZSRR. Najlepszy z zespołów otrzyma „Złotą ciupagę”, a niektóre udadzą się na tournée po kraju.

Znam poetę przerażonego dziś już komputerami; powiada, że kiedy one zejda na ziemię i zastąpią ludzkość w myśleniu nad dobrze wykonaną robotą — zapanuje samotność najgłębsza. Będzie ów czas czasem rozmowy z samym sobą, albowiem właśnie specjalizacje techniczno-humanistyczne wykluczą możliwość porozumienia, wytworzy się język-szyfr zrozumiały tylko w odniesieniu do własnych zainteresowań i będzie to szyfr rzeczywiście naukowego, wysokiego w tajemniczenia, obcy ignorantom, rozległy, odkrywczy, a zarazem przekreślający współczesność umysłów skierowanych ku innym dyscyplinom.

Po rozmowie z tym poetą śnił mi się komputer malujący obraz. Z części, którą twarzą nazwę, wyrastały mu pędzle ociekające farbą, kamienne słupy rąk żonglowały płótnem, przybliżając odpowiedni skrawek płaszczyzny pod odpowiednią wielkością i kolor pędzla. Komputer malował portret dziewczyny o białych długich włosach i soczystych wargach. Portret płaski, taki nieco podobny do dziewczyn Mikulskiego, Anny Guentner i... co lepszych naszych malarzy, którzy lansują płaskość dlatego, że nie znają bryły i światłocienia. Dziewczyna miała puste oczy i twarz bez wyrazu.

Dalsza część snu ze sztuką nic wspólnego nie miała i była, trzeba przyznać, dość przerażająca. Komputer zjadł portret i dziewczyna krzyczała, wszystkie pędzle były czerwone i czarne, a farba kapłała na posadzkę. Z komputera zrobił się potem duch i przybrał śmieszny postać rysunków Szymona Kobylińskiego — bezkształtnych i białych, z kulą u nogi, wspiął się ten duch w końcu na zydeł i wypłynął przez gotycką strzelnicę okna. Bo nim się spostrzegła, jak zmieniła się sceneria na średnowieczną. Choć opowiedziany jest śmieszny sen, był groźny smutny i nie taki znowu bezsensowny. Był poza tym z gatunku tych snów, kiedy człowiek ucieka stając w miejscu, kiedy do niego strzelają i wie, że umiera, smakując powoli gorzki czas śmierci, kiedy biegnie pod górę i zapada się coraz głębiej w rozmiękłą ziemię, a nieszczęście, zły los tuż tuż go dopada.

Co wrażliwi, przeczuwają epokę komputerów. Może już siebie w niej nawet nie znajdują, ale smutek pozostaje ten sam, że to co z ducha i myśli — przestanie być z nich, że zmieni jakość w mechaniczną precyzję, w wielość, w warianty tej precyzji, czyli inaczej — zagubi treść, udoskonalając formę. To jest ten pierwszy lęk. Drugi, kto wie, czy nie istotnie godzący w kulturę myśli — to lęk przed samotnością. Nie tą zwyczajną samotnością, kiedy do człowieka mówi obraz, książka, muzyka która to samotność niekiedy bywa rozkoszą a zawsze odprężeniem, ale tą samotnością, gdy obraz już nie wzruszy, bo w nim absolutnie nie ma myśli i nie będzie wielu, którzy ten brak dostrzegą, i których ten brak przerazi, albo przynajmniej żyć przez chwilę przeszkodzi, kiedy książka będzie tak napisana (a może tylko skłiszowana i odtworzona na podręcznych projektorach filmowych?), że jej nie rozumie żywy człowiek, że w sferze treści pozostanie mu obojętne, nieczytelne.

I teraz już jasne jest, że kulturę nie sposób odłączyć od konkretnego środowiska, że ona ją tworzy, akceptuje, odrzuca; że nie poza środowiskiem, złączonym obyczajowym porozumieniem nie jest w stanie zapewnić jej głębi, intensywnej współczesności.

Cóż warto są książki zimne, wykalkulowane na podstawie słownika Karłowicza czy Doroszewskiego, gdzie poprawna polszczyzna nie służy żadnej myśli, a piszący w siebie zapatrzony, przegląda się w stojącej wodzie małego stawku własnych mikroniekupków, że się starzeje, że brzydnie, że traci powodzenie u kobiet? Gdyby przez chwilę bodaj pomyślał o tych procesach i zobaczył je powszechnie, gdyby uogólnił ten smutny fakt, któ-

Krystyna Świerczewska

DOBRO ŁĄ- CZA- CE

ry rządzi ludzkością, może powstałoby drugie „Poszukiwanie straconego czasu”, które Proust zużył nie na kliniczną obserwację własnych zmarszczek, ale zmarszczek środowiska reprezentowanego przez Swannów i księżne de Guermantes... Nie uogólniając — wlecz się tedy w ogonie literatury, a ten organ szczątkowy zawsze lubi odpadać. Udowodniła rzecz historia, która lubiąc się powtarzać, co raz demaskuje grafomanów i niedobre książki.

Ze przechodzą przez sita wydawnicze i cenzuralne ubożuchne w idee tomiki? To tylko dowód dobrej woli państwa, szukającego Mickiewiczów, i dowód państwowego placet na każdą twórczość. Leży parę tomików takich na półkach mojej prywatnej biblioteki, kupionych bądź w imię przyjaźni dla autora, bądź z ciekawości, ile głupstw jeszcze wymyślić zdoła. Zenuje mnie niedojrzałość ideowa zaangażowanych wiekiem młodych debiutantów, którzy tylko o sobie, dla siebie, z sobą. I czasem chce mi się krzyknąć, że szkoda pieniędzy, papieru i wysiłku edytorskiego. Wiem, że to niepopularne i że mnie wielu zakrzyzy. Wiem, że ci, co nie rozstają się nawet na noc z zasłyszonym bądź wyczytanym zdaniem, które wlepią później we własne ubogie wizje literackie jak fryz ozdoby, ukradziony ornament — od dziś z wrogością popatrzą w moją stronę. Wolę „Luny w Bieszczadach”, literaturę faktu i bezprzykładnego zaangażowania, jak choćby „Raport z Monachium” oraz wolę wejść do księgarni i dostać dziś jeszcze Cendrarsa, Whittemana, Witkacego, których dawno w świat wyprowadzono, a na wznowienia brak papieru...

Widzę bowiem w literaturze świat ogromny, tworzony pod rękę z erudycją i postępowaniem, z nowatorstwem myśli, z filozofią, szanującą człowieka, boć to w końcu nauka o nim samym, szukająca mechanizmów, które nim powodują, ułatwiającą mu start w pełne człowieczeństwo. Jeżeli tego nie ma w dziele literac-

kim, szerzej — w każdym dziele sztuki — odsuwam, znużona, ten twór spekulatywny, tworzony z myślą li tylko o własnych korzyściach. Wydawnictwa, film polski, ba, nawet skromna pod względem ładunku artystycznych treści telewizja, idą na łatwiznę. Wydaje się książki, robi się filmy, czasem żenujące, tanie ideowo, marne artystycznie, ostatnio skandalizujące i wrogie; w telewizji upycha się cicho tandetę, firmując ją znanymi nazwiskami (przykładami osobowymi służyć, jako wierny oglądacz wszelkich programów) i robi się to wszystko, szermując hasłami swobód artystycznych i zapotrzebowania społecznego. Szermując demagogicznie

Bo że istnieją te swobody artystyczne, wystarczy sięgnąć po parę co bardziej znanych nazwisk w literaturze, które tworzą sobie a swoim prywatnym muzom; że istnieje zapotrzebowanie społeczne — to byłaby już odpowiedź na pytanie retoryczne, które odpowiedzi wszak nie wymaga.

A cel pozostaje jeden, niezależnie od koneksji towarzysko-kawiarnianych, od nastawień wrogich ideowo, od judzącej do wyskoków nieodpowiedzialnych propagandy zachodniego świata — jesteśmy jako naród spragnieni wartościowej sztuki, umiemy ją docenić, wzbudza nasz szacunek. I nawet, jeśli personalna zawiść przysłoni czasem talent danego twórcy — jeśli jest on godny zauważenia — zauważony zostanie.

Łączy nas strofa mickiewiczowska w podziwie dla sztuki; przeżywam nie tylko ja wstrząsającą prawdę zdania z „Domu kobiet” Nałkowskiej, że między człowiekiem a człowiekiem jest ciemność, wzrusza mnie wizja Nieborowa z lampą na łańcuchach, co dotknęła skrzypli, mistrza Ildefonsa i tegoż zaczarowane dorożki, do których coraz rzadziej wsiadamy, wstrząsają partię „Kwiatów polskich” o Małgorzacie tańczącej, bawi Morsztynowa fraszka na pleć nadobną, smuci aktualność Frycza-Modrzewskiego, potępiająca prywatę i nienadobne patriotycznie czyny, zdumiewa aktualność „Kroniki” Prusa czy monografii Boya, który za postacią literacką nie chciał widzieć brązowego posągu, lecz żywe idee pisarza. I kiedy czytywała dość dawno, by móc dziś cytować z pamięci, prosiutkie wiersze Pola, Lenartowicza, Asnyka, smakowałam ich przejrzystą klarowność, a później uciekałam w zawile meandry poetyckiego wyrafinowania — anim sądziła, że wróci czas zdwojonej sympatii dla poezji nieskomplikowanej, a uczciwej w zawartości, w nośności ideowej. Że będzie on jak niewymyślna, a dobrze skonstruowana potrawa zapewniająca dietę witaminową — żywieniową, konieczną dla zachowania zwyczajnie ludzkiego samopoczucia.

I kiedy obok Lenartowicza jawi mi się komputer kalkulujący na ludzkim intelekcie przecie, bo przez człowieka wymyślono, zda mi się, że jest to zjawisko w kulturze niemożliwe, że już dziś (a więc prehistoria to dla epoki komputerów), dostatecznie skompromitowane, by mogło kiedyś człowieka zastąpić.

Przeto obawy poety przerażonego trzeba traktować jako przewrażliwienie, które w kulturze może się zdarzyć, ale nie jest świadectwem jej trwałości. Tę bowiem tworzą ludzie — ich pasja poznania, ich droga poznania, ich wspólna potrzeba głębokiego piękna i szukania rozumu.

KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA



Marian Stroński — Ptaki — olej.

Fot. M. KOPEC

„Niespokojna starość”

Ostatnie wystawy w rzeszowskim Domu Sztuki były dużymi wydarzeniami artystycznymi. Dobrze świadczy o pracy BWA i o możliwościach twórczych rzeszowskiego środowiska malarskiego. Po bardzo interesującej wystawie Henryka Rachfalskiego, później Zygmunta Czyży, możemy oglądać otwartą niedawno dużą ekspozycję malarstwa Mariana Strońskiego. I ta wystawa imponuje doskonałością rzemiosła artystycznego, oryginalnością wyobraźni plastycznej twórcy oraz intensywnością poszukiwań i niepokojem.

Marian Stroński, przeszło siedemdziesięcioletni artysta pochodzący z Przemyśla, uczeń Teodora Axentowicza i Józefa Pankiewicza, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Wiedniu, przeżył z aktywnym uczestnictwem długi okres dziejów malarstwa polskiego i europejskiego. Przeżył dość skomplikowaną drogę rozwoju od malarstwa realistycznego, utrzymanego w zachowawczych konwencjach do twórczości eksperymentującej, traktującej obraz jako problem czysto malarski, nie zawierający odbicia świata realnego. Najbardziej jednak godny podziwu jest fakt, iż Stroński przeszedł na pozycje awangardy artystycznej w okresie ostatnich lat, uległ rewolucyjnej metamorfozie w wieku, w którym na ogół doświadczenie, rutyna i konserwatyzm pojęć, nie sprzyjają nowym poszukiwaniom. Stroński, mimo półwiecza swej twórczości, jest artystą młodym, uczestniczącym w głównym nurcie współczesnego malarstwa. Od sztuki przedstawiającej świat za pomocą form

oczywistych i sprawdzalnych odszedł do malarstwa aluzyjnego, nawiązującego do kształtów natury poprzez odległe, metaforyczne reminiscencje. Najpierw rozbija przedmiot czy motyw na drobne elementy o kształtach zgeometryzowanych, a później buduje z nich skojarzenia i wizje o doskonałej harmonii, logice i sugestywnym nastroju. Artysta jest szczególnie wrażliwy na efekty i walory światła. Jest ono w jego obrazach czynnikiem organizującym, nadaje rytm kompozycyjny płótnom. Właśnie światło traktowane jako element składowy natury, tropienie jego źródeł, barw i natężenia przynosi niepowtarzalny i urokliwy klimat oraz sugestywność nastroju. Niektóre prace mogą kojarzyć się odbiorcy z jakimiś księżycowymi czy wenusjańskimi krajobrazami.

Wszystkie jednak, nawet najbardziej nieoczekiwane przekształcenia i transpozycje są zawsze świadome, nigdy nie powstają przez przypadek czy zbieg okoliczności. Każdy kształt i plama wyrażają myśl artysty, są zamierzone i precyzyjnie zrealizowane. Wiada w tych obrazach znakomite opanowanie warsztatu malarskiego i niezwykłą rzetelność, z jaką twórca traktuje swe płótno.

Należy podkreślić, iż ekspozycja zajmuje obydwie duże sale wystawowe Domu Sztuki, czyli składa się na nią kilkadziesiąt obrazów. Zdecydowana większość z nich powstała w ostatnich latach, czy nawet miesiącach. To świadczy o dynamice, olbrzymiej pracowitości i twórczym niepokojem nekającym artystę. Cóż może być bardziej godnego zazdrości, jak taka niespokojna, ale piękna i owocna starość.

JAN GRYGIEL

ROMAN TUREK

KUŹNIA

Pomieszczenia te nie w zupełności zasługiwały na tę nazwę. Niósł się wprawdzie stąd od czasu do czasu donośny dźwięk uderzeń młota w stal lub inne metale, aby jednak podkuwano tu konie, wyrabiano sprzęt jakiś z metalu, reperowano jakkolwiek sprzętaj, o tym, nikt nie słyszał. Mimo to, przedostające się przez grube mury na zewnątrz i słyszane daleko charakterystyczne, związane z pracą kuźni odgłosy, pozwalały się domyślić, że coś się tam robi w metalu, majsterkuje. Nikt z przechodzących biegnąc o trzydzieści metrów stąd, zawsze ruchliwą szosą, nie domyślał się, że przyklejony do ściany zwalistej budowli fabrycznej niski, podłużnego kształtu budynek, kryty jest jedynie lekkim dachem z deszczulek i papa, nie dziw zatem, że nie tłumiony żadnym stropem dźwięk, rozchodzi się stąd jak na wolnym powietrzu.

Budynek ten to kotłownia hrabiowskiej fabryki likierów, słynącej z doskonałej jakości i bogatego asortymentu wyrobów.

Obsługujący tę kotłownię palacz, pracuje tu od pierwszych dni jej uruchomienia, czyli powyżej lat szesnastu. Z całością urządzeń zaznajomiony jest znakomicie, mogąc uruchomić je nawet bez światła w porze nocnej. Zawdzięczając otrzymanie zajęcia dziwnie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, rozpoczął pracę w charakterze pomocnika monterskiego, jako kompletny laik i ignorant w dziedzinie takiego czy innego rzemiosła. Przewidując, iż po ukończeniu montażu urządzeń, zarząd fabryki zechce mu powierzyć stanowisko stałe, rwał się do każdej pracy ucząc się równocześnie wszystkiego, co uważał, że będzie mu potrzebne. Zdawszy egzamin, przyjął zaofiarowane mu stanowisko palacza i odpowiedzialnego za sprawność wszystkich urządzeń z rurociągami i kanalizacją włącznie, konserwatora.

Młody człowiek spędzał tu swe około jedenastu godzin dziennie samotnie, mało mając sposobności zamienienia z kim słów parę. Bez koniecznej potrzeby, nikt do tej, pełnej gazu i kurzu, bielonej raz na lat dziesięć jaskini nie zachodził. W obawie zapomnienia ludzkiego języka, samotnik sam z sobą długie dysputy przeprowadzał, besztął się, bywało, że podenerwowany, wygrażał sobie jak śmiertelnemu wrogowi. W wolniejszych chwilach czytał; książek i różnych pism nie brakowało mu nigdy. Polubiwszy życie z dala od przewrotności ludzkiej, niczego już nie pragnął, tu żyć i umrzeć miał nadzieję. Ze tam w latach ostatnich fabryka robiła bokami, uważany za luksusowy towar nie znajdował nabywców, nie jego to wina. On spędzał tu swoje pół doby co dnia z ochotą poddając się eksploatacji nie tylko w kotłowni,

ale gdzie tego zaszła potrzeba.

Lecz przyszedł czas, że błękit dość pogodnego dotychczas nad Polską nieba pokrywał się począł burzami, zwiastującymi burzą chmurami. Palacz-samotnik przebrał się w opinający go mundur i z wielu podobnymi sobie czterdziestolatkami wyruszył w pole, bronić ojczyzny. Na wojnę. Już po raz trzeci w swym życiu. Zegnął tym razem nie samą już tylko matkę i siostrę z jej dziećmi; odprowadziły go na dworzec PKP żona i dwoje jego własnych dzieci, w wieku uczniowskim.

Po klęsce z drapieżnym najeźdźcą wrócił z odrobiną satysfakcji, że Lwów, którego nie pierwszy raz był obrońcą, mimo wszystko nie dostał się tym razem w ręce nienasyconego Krzyżaka. Nie zdążył jeszcze obolałych nóg w orzeźwiającej wodzie dokładnie wymoczyć, gdy zjawił się w jego mieszkaniu zdyszany postaniec.

— A, a; — mówił niezwykle podniecony — jest pan? To bardzo dobrze. Właśnie przysłał mi dowiedzieć się czy pan wrócił.

— Kto?

— Aj, dyrektor i tam inni. Dyrektor też wczoraj co dopiero wrócił, a już urzęduje i wzywa pana do biura.

— Proszę jak najszybciej uruchomić kotłownię i przygotować urządzenia do ruchu. Oczekuje nas niezwykle wzmożona praca. W promieniu kilkuset kilometrów zniszczone są wszystkie gorzelnie, rafinerie i rektyfikacje. Zakłady nasze ocalały w całości, wraz z dwoma milionami litrów stuprocentowego spirytusu. Sprzedać to trzeba zanim Niemcy się zorientują i ciężką łapę na olbrzymim tym majątku położą. Pan hrabia potrzebuje pieniędzy, a stłamszony nieszczęsną sytuacją naród, nie już nie pragnie, upić się tylko i zapomnieć — skandując jak wykładowca w uczelni zawiły jakiś przedmiot, dyrektor buchał półgłosem w ucho palaczowi zdanie po zdaniu, starając się wszystko wyłożyć jak na łopate.

Było to zbyteczne; sprytny palacz polecenie pojął w lot, a potrzebę dokonania go, doceniał nie mniej niż sam zlecniodawca.

Fabryka likierów ruszyła w tak morderczym tempie, iż sięgnawszy pamięcią w tył, najstarsi ludzie czegoś takiego nie potrafili sobie przypomnieć. Jak dzień długi dwa duże wozy fabryczne, bez przerwy dowoziły z rafinerii i zwały pod drzwi rozlewni siedmiuset litrowe, żelazne beczki ze spirytusem. Po zmieszaniu go z wodą, dolewano jakąś tam miarkę esencji rumowej, rozlewano i sprzedawano od ręki jako tak zwany rum biały, w cenie trzech złotych i dziewięćdziesięciu groszy za jeden litr.

Aparaty destylacyjne dzień i noc destylowały wodę, wszystkie filtry bez przerwy oczyszczały gotowy już produkt.

Z początku. Do pracy stanęli nowo przyjęci robotnicy i urzędnicy; znaleźli tu zajęcie uciekinierzy z Ziemi Zachodnich, inteligencji różnych profesji, przebrani w odzież cywilną oficerowie. Zalegające podwórce fabryczny s'osy butelek tak zwanych „niemiaryowych”, doczekały się nareszcie powierzchniowego przynajmniej opłukania i napełnienia, niezrównanej jakości płynem, firmy: Hr. Potocki w Łańcucie. Nabywcom ani w głowie było dziwić się, dlaczego to butelka litrowa nie o wiele jest większa od trzycwierciówki, flaszka z etykietą półlitrową, mało co większa od ćwiartki. Grunt, że była pełna i zakorkowana dokładnie.

Alkoholomierz też nie był rekwizytem najkonieczniejszym.

kieszeni własnej, zmieniając się co kilka godzin. Reklamacje zresztą nie zdarzyło się by kto wnosił, zarówno sprzedawca, jak kupujący zdawali się być zadowoleni, interes siedł. Mieszkający gdzieś daleko stąd konsument połapał się może, że został orżnięty, ale w myśl przysłowia: „Pan Bóg wysoko, cesarz... nie ma go w ogóle”, czując się więc trzeźwym po wypiciu jednej butelki, kłął brzydko i kupował drugą.

W niewiele dni po uruchomieniu tej, jakże pożytecznej placówki jedynej w Łańcucie przemysłu, nie zostało ani jednej pustej butelki na terenie fabryki. A w olbrzymich, jak Morskie Oko zbiornikach, spirytusu!...

Uspokojony, że nic mu tu już nie grozi okupant, coraz to wnikliwiej węszyć poczynił i w każdą dziedzinę gospodarki polskiej nos swój wtykać sobie pozwalał. Dy-



rys. J. SIENKIEWICZ

— Wody! — zanurzwszy szklany przyrząd w kadzi z przygotowanym do rozlewania płynem — krzyczał po jego wyjęciu, kierownik fabryki i likiermajster w jednej osobie.

— Ile? — pytał zazwyczaj podręczny mu pracownik.

— Sto litrów albo dwieście. Wszystko jedno, byle prędko, bo nie ma czasu — likiermajster machał ręką i śpieszył do kadzi następnej.

Pozostawiony własnemu przemysłowi podręczny, dolewał dwieście pięćdziesiąt litrów wody. Tak na wszelki wypadek. Od przybytku nigdy nikogo nie rozboleła jeszcze głowa. Skutek tej zbyt szeroko pojętej demokracji zarządzeń był taki, że płyn jednej kadzi przypominał smakiem wonię alkoholu pomyjki, po spełnieniu zdrowia szklanceczką napoju kadzi z innej, zbiegła oko najtęższemu, zaprawionemu w pijactwie ochładowi. Na ogół jednak moc alkoholu utrzymywała się w granicach około czterdziestu stopni, czasem trochę niżej, lub rzadziej wyżej. Dopilnowywał, nie zaniedbując tych spraw, stały, kilkusobowy fiskus, z gorliwością godną

i poza kolejką do siedzącego za okratowanym przepierzeniem kasjera dotrzeć. Szczególnie, z dowodem zapłaconego towaru w drżącej dłoni, przeciskał się wśród ciżby rozgorączkanych czekaniem, którzy nie obawiając się ryzyka, oferowali za odstąpienie im kwitu, sumę pięciokrotnie wyższą od tej, jaką on co tylko zapłacił. Dopelnivszy transakcji, obladowany bulgoczącym towarem, udawał się w podróż powrotną, często daleko, w Lubelskie, Krakowskie, do Warszawy nawet. Jego miejsce na podwórzu fabrycznym zajmowali, przybywający nowi. Przesuwały się przez bramę ogrodzenia gromady istnych patników, jak przed synacy cudami obraz, w dzień dorocznego odpustu w klasztorze. Rano, przed otwarciem fabryki jeszcze, przesadzali się przez parkan i ukrywając się w zakamarkach między szopami, czatowali, by z chwilą otwarcia stanąć w kolejce na przedzie. Przebiegły to był system, w kalkulacji jednak nie zawsze się opłacał. Idącemu do biura kasjerowi towarzyszyła hurma interesantów, zalecała mu się po drodze na wszystkie sposoby i ustawiała przed okienkiem kasy w kolejce, nie dopuszczając intruzów, co z nieba tu chyba spadli, nie zauważeni nawet przez stróża nocnego, który też przecież żyć musiał, kuba więc nie raził go, ani obrzydzenie mu sprawiał.

Troje • prowadzących na wytwórnię drzwi żelaznych, lub okutych blachą, zamkniętych było od wewnątrz na potężne haki. Stali u tych drzwi rośli cerberowie z łście zbrojecką pałką w garści. W myśl instrukcji zarządu, przez główne drzwi wejściowe dozwolone było przepuszczyć jednorazowo dziesięć kupujących. Skoro jednak drzwi te cerber otworzył, kotłownina ludzka zdawała się nie tylko drzwi z zawiasów wysadzić, ale muiowane ściany budynku do fundamentów rozwalić. Flegmatyczny a nieustraszony cerber, siłą swych ramion, dziesięć co potulniejszych ku sobie przygarnął, drzwi żelazne przed samymi nosami pozostałych cisnących się, starał się na mocny hak zarzycłować. Zdarzało się, i, usiłowano przeszkodzić cerberowi w jego zbożnym staraniu o utrzymanie porządku i ignorując ważność jego osobowości, próbowano wtargnąć do przedsiionka kasy przemocą. Wyprostowywał się on w takich przypadkach, mierzył cisnących się błyskiem nie znających litości oczu i podobnym do świstu rozmachniętego miecza dyszkantem wykrzykiwał:

— Cofnąć się!

Skutek był rozmaity. Zważywszy, że stojący tuż pod drzwiami spodziewali się w następnej w kolejności dziesiątkę być wpuszczonymi, nie zdradzali ochoty dawać nura na dalekie, beznadziejne tyły. Woleli już zaprzeć się obcasami butów o próg drzwi, siłą barków zaś utrzymywać napierającą na nich ludzką ciżbę. Czynili to z heroicznym zapaściem samych siebie, prosząc równocześnie spojrzaniem w chmurne oczy cerbera, o zmiłowanie i litość. Skoro jednak korzystając z chwili nerwowego napięcia, przemycić przez próg nabrał ktoś odwagi, otrzymał raz grabową pałką po ciemieniu i jeśli nie przysiadł zaraz na ziemi z zamiarem chwilowego odpoczynku, to przynajmniej wycofywał się na linie rezerwy uspokojony już w zupełności. Drobiazgowość tych incydentów nie powodowała napływu skarg lub zażaleń do biur dykcji zakładu pracy. Sentencji: „nasz klient to nasz pan” nie respektowała żadna ze stron.

Dr J. Szlapeczyński

Dyskutujemy nad ustawą o szkolnictwie wyższym

DYLEMATY KIEROWANIA

W dyskusji nad aktualnymi problemami szkół wyższych dają się słyszeć coraz powszechniej głosy krytyki pod adresem systemu organizacyjnego i struktury szkolnictwa wyższego, postulujące konieczność oceny i ewentualnej rewizji obowiązującej od 1958 r., a znówelizowanej w 1965 r. ustawy o szkolnictwie wyższym. Redakcja Agencji Robotniczej zwróciła się w związku z tym do dr J. Szlapeczyńskiego, autora pracy pt. „Zarząd szkoły wyższej w Polsce Ludowej”.

Oto jego uwagi na temat problemów organizacji szkoły wyższej w świetle treści i realizacji ustawy:

— Podstawowym kryterium oceny obowiązującego modelu ustrojowego szkoły wyższej musi być odpowiedź na pytanie: czy i w jakim stopniu model ten odpowiada potrzebom budującego socjalizm kraju, czy i w jakim stopniu gwarantuje najefektywniejsze wykorzystanie środków, którymi dysponują szkoły wyższe, czy i w jakim stopniu realizuje zadania kształcenia i wychowywania młodzieży, rozwijania istotnych dla postępu badań naukowych.

Aby odpowiedzieć na te pytania, zastanówmy się przede wszystkim, czy ustroj szkoły wyższej jest zgodny z podstawowymi zasadami ustrojowymi, za które przyjęło się uważać: a) kierowniczą rolę partii, b) centralizm demokratyczny, c) udział obywateli w zarządzaniu, d) prawnorówność, e) działalność planowa.

Ustawa o szkolnictwie wyższym nawiązuje tylko częściowo do wymienionych zasad. Zastanówmy się choćby nad pozycją prawną ministra oświaty i szkolnictwa wyższego, która nie spełnia wymogu centralizmu demokratycznego. Nie spełnia, ponieważ centralizm ten nie jest ani pełny (poza bezpośrednim zarządzeniem ministra pozostają akademie medyczne, wyższe szkoły wychowania fizycznego, wyższe szkoły artystyczne oraz uczelnie wojskowe), ani dostatecznie demokratyzowany. Nie gwarantuje tej zasady demokracji Rada Główna Szkolnictwa Wyższego, wywierająca głęboki wpływ na całokształt spraw szkolnictwa, ale składająca się wyłącznie z samodzielnych pracowników nauki *). Cały zresztą system organów naszego szkolnictwa wyższego — od Rady Głównej poprzez senaty i rady wydziału — jest hermetycznie zamknięty przed udziałem w zarządzaniu obywatela spoza szkoły. Tymczasem w wielu innych krajach socjalistycznych udział czynnika zewnętrznego w zarządzaniu szkołami jest sprawą zupełnie oczywistą. I z tego względu, że środki finansowe wyższych uczelni pochodzą z funduszy publicznych, i z tego względu, że ocena przygotowania do pracy powinna być sporządzona w toku nauczania, a nie wtedy, gdy praktycznie już jest za późno, to znaczy po opuszczeniu uczelni.

Można by tu zapytać, czy postulat demokratyzacji i udziału obywateli w zarządzaniu szkołami nie spełniają podstawowe organizacje partyjne i organizacje związkowe. Wywierają one oczywiście wpływ na działalność uczelni, ale poza ramami oficjalnych organów kolegialnych szkoły, w skład których nie wchodzi przedstawiciele komitetów partyjnych. Wpływ ten jednak ograniczony jest w wielu uczelniach... składem organizacji partyjnych, w których najliczniejszą i najaktywniejszą grupę stanowią tzw. pomocniczy pra-

cownicy nauki — ludzie zależni zawodowo od kierowników katedr, a tym samym ludzie, którym często trudno jest konsekwentnie przeciwstawić się, jeśli sytuacja tego wymaga, senatowi czy radzie wydziału.

Przejdźmy teraz do omówienia wewnętrznej struktury szkół wyższych i w konfrontacji z ogólnymi zasadami naszego życia, i w konfrontacji z podstawową treścią i celami szkoły wyższej, którymi są nauka, nauczanie i wychowywanie.

Analizę tej struktury rozpoczniemy od urzędu rektora.

W myśl ustawy jest on — wydawałoby się, zgodnie z zasadą jednostkowego kierownictwa — najwyższym organem szkoły. Nie zapominajmy jednak, że rektor wybierany jest przez senat na 3 lata i dalszy wybór uzależniony jest od opinii senatu i jego działalności, że obowiązany jest zasięgać opinii senatu we wszystkich sprawach ważnych dla życia szkoły, że wreszcie senat ma prawo wystąpić z wnioskiem o odwołanie rektora. Sytuacja ta przypomina bardziej zasadę austro-niemieckich uniwersytetów, że rektor jest „primus inter pares”, a nie „primus” jednoosobowego kierownictwa. Ponadto rektor odpowiada za swą działalność także przed ministrem. Otrzymuje od niego polecenia, lecz przy ich wykonywaniu musi się liczyć z opinią senatu, nie zawsze zbieżną z kierunkiem polityki resortu. Musi więc często manewrować między stanowiskami obu stron, a także brać pod uwagę opinie organizacji partyjnej i związkowej. Konfliktowość niektórych sytuacji osłabia sprawność działania rektora, a tym samym osłabia skuteczność jego kierowania szkołą.

Do tego dochodzi praktycznie nadmiar obowiązków spoczywających na rektorze. Nie tylko organizuje on procesy nauki i wychowania, a więc utrzymuje kontakty z wydziałami, wizytuje katedry, porozumiewa się z organizacjami partyjnymi i społecznymi. Nie tylko reprezentuje uczelnię na zewnątrz, wobec resortu i władz, uczestniczy w zjazdach naukowych, sprawuje często kilka funkcji społecznych.

Kieruje również sprawami administracyjno-gospodarczymi, *

które w uczelniach skupiających kilkanaście, a nawet dwadzieścia tysięcy studentów wraz z pracownikami są obowiązkami bardziej skomplikowanymi niż zarządzanie niejednym wielkim zakładem pracy. Prawda — istnieje w każdej szkole wyższej funkcja dyrektora administracyjnego, ale, nie wdając się w szczegółowe rozważania, sytuacja prawna owego dyrektora jest niejasna i fakt, że rektor kieruje administracją z pomocą dyrektora administracyjnego, nie zwalnia go od odpowiedzialności za funkcjonowanie aparatu administracyjnego szkoły.

Przed wszystkim jednak rektor nie jest zwolniony z obowiązków naukowo-dydaktycznych, polegających na kierowaniu katedrą. Co więcej — ustawa nie zabrania mu zajmowania innych zawodowych stanowisk poza uczelnią. Znane są więc przypadki, że podstawowym zajęciem zawodowym rektora jest kierownictwo jakimś instytutem naukowym, a funkcja rektora jest zajęciem niejako ubocznym.

Jest rzeczą mało prawdopodobną, by jeden człowiek mógł w sposób należyty sprostać tak różnorodnym i ciężkim obowiązkom.

Być może, mógłby spełniać ową kierowniczą rolę senat — jest to jednak organ zbyt liczny (liczba członków dochodzi do 40 osób), by gwarantować sprawne kierowanie na co dzień działalnością szkoły wyższej. Jak wykazały zresztą badania w pięciu uczelniach warszawskich, senaty tylko fragmentarycznie wywiązują się ze swych obowiązków. W szkołach tych ilość posiedzeń senatu waha się na przestrzeni dwóch lat w granicach 6—11, a każde posiedzenie zawierało średnio 7 punktów.

Obecna struktura senatu, zwłaszcza w największych szkołach, nie jest dostosowana do wykonania zadań, jakie przypisuje mu ustawa, pozostawia kolektywne kierownictwo szkoły poza kręgiem wielu ważnych problemów. Pogłębia więc tym samym izolacjonizm wydziałów i katedr.

*) wybieranych głównie przez samodzielną pracownictwo nauki.



Maria Cichorzewska-Drabik

„Uzdrowisko II” — olej

Nie tylko jeleni na rykowisku

(ROZMOWA Z KIEROWNIKIEM RZESZOWSKIEJ DELEGATURY PP „PRACOWNIE SZTUK PLASTYCZNYCH” MGR SZTAKIEM CIESZYŃSKIM).

J. A. — Jest kilka powodów, dla których chciałbym zaproponować Panu tę rozmowę. Może zaczniemy od spraw bardziej ogólnych, wiążących się z całokształtem rynku plastycznego w województwie rzeszowskim.

Mgr T. C. — Istotnie. Problemy, jakimi zajmuje się nasze przedsiębiorstwo są ściśle związane z sytuacją tego rynku, nie tylko zresztą w naszym województwie. Chcę zaznaczyć, że Przedsiębiorstwo Państwowe „Pracownie Sztuk Plastycznych”, którego Delegaturą kieruję tu w Rzeszowie, jest instytucją, która jest jak najbardziej zainteresowana tym, by na rynku plastycznym w kraju uporządkowano szereg spraw ciągle od lat niezakończonych...

J. A. ... na przykład?

T. C. ...Na przykład problem tak zwanej sztuki użytkowej uprawianej jak Polska długa i szeroka przez ludzi nie mających do tego ani przygotowania, ani wykształcenia. Jest to problem różnego rodzaju reklam, wewnątrz pseudopomników robionych za społeczne pieniądze bez jakichkolwiek weryfikacji merytorycznych czy finansowych. Rezultaty tej działalności mamy możliwość oglądać, oddajmy sprawiedliwość prawdzie, nie tylko w małych miasteczkach, czy na wsi, ale również w dużych ośrodkach, gdzie istnieją ludzie do tych prac przygotowani, gdzie są odpowiednie komisje mogące przeciwdziałać w pokazaniu publiczności rzeczy, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. Przykłady te uczą, że na rynku plastycznym wiele spraw jest zupełnie nieunormowanych, że panuje tu w dużej mierze niekontrolowany żywioł.

J. A. — Zgadza się z tą oceną. W czasie ubiegłych wakacji miałem możliwość przejazdu przez sporą część naszego kraju i rzeczywiście obok rzeczy istotnie ładnych, celowych, spotykałem potworki plastyczne, które zaśmiecają krajobraz, psują nie najgorszą czasami architekturę. Wydaje mi się, że nie wykraczając poza nasze lokalne podwórko szereg spraw moglibyśmy jednak załatwić we własnym zakresie.

T. C. Jestem również tego zdania. Chcę zaznaczyć, że klimat dla tej idei jest na ogół dobry. Zarówno Komitet Wojewódzki, jak i Miejski partii, prezydium Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej w Rzeszowie są za-

interesowane w ogólnym podniesieniu estetyki naszych ulic i domów, upowszechnienia dobrej sztuki użytkowej, wyeliminowania prowincjonalnej brzydoty „nie pasującej” do województwa i jego stolicy. Pragnę przypomnieć, że w roku ubiegłym z inicjatywy Prezydium WRN w Rzeszowie odbyła się w Rzeszowie narada poświęcona temu zagadnieniu, gdzie szereg spraw, o których dzisiaj mówimy postanowiono w sposób jednoznaczny.

J. A. Przypominam tę naradę, przypominam sobie wnioski, jakie tam wtedy wysunęto. Jednym z nich było podanie weryfikacji „prac plastycznych” przez nikogo nie zatwierdzanych, które kompromitują nas, bo przecież trudno ogłaszać, że „za poziom tych prac nie bierzemy odpowiedzialności...”

T. C. Przypominam, że wnioski szły jeszcze dalej. Żądano usunięcia z naszych miast i miasteczek najbardziej rażących „jeleni na rykowisku” w reklamowym czy galanterijno-użytkowym wydaniu, a przede wszystkim do zapobieżenia powstawaniu plastycznej tandety. Mówiono, że należy stworzyć taki system kontroli, by jeśli już nie całkowicie przeciwdziałała, to przynajmniej ograniczyła publiczną prezentację „dzieł”...

J. A. System kontroli... Wielkie słowo. Praktyka udowodniła, że jest on bardziej niż niedostateczny. Czy jednak są to możliwości skutecznej rywalizacji między dobrą a złą plastyką użytkową? Na jakiej płaszczyźnie, za pomocą jakich form?

T. C. Oczywiście, że to co powiem nie jest jakąś generalną receptą na wszystkie schorzenia na tym polu. Ale jedną z możliwości tej rywalizacji proponuje właśnie nasze Przedsiębiorstwo „Pracownie Sztuk Plastycznych”.

J. A. Na czym mianowicie ona polega?

T. C. Przedsiębiorstwo nasze prowadzi usługi artystyczne, których nie mamy powodu się wstydzić. PSP realizowało prace właściwie ze wszystkich dyscyplin plastycznych od grafiki i malarstwa poczynając na wielkich realizacjach z zakresu architektury wnętrz i rzeźby monumentalnej. Pracownie Sztuk Plastycznych przyjmują prace właściwie z każdego zakresu, od małych drobnych form graficznych jak znak firmowy zakładu, po realizację pomników. Chcę przypomnieć, że przy Delegaturze PSP w Rzeszowie działa Komisja Rzeszowców powołana przez Min. Kultury i Sztuki. Komisja ta kwalifikuje i dokonuje wyceny prac plastycznych

(Ciąg dalszy na str. 6)



...a estetycznych pamiątek wciąż brak. Kiosk w Łańcutcie.

Fot. M. KOPEC

Nie tylko jeleni na rykowisku

(Ciąg dalszy ze str. 5)

przechodzących przez nasze Przedsiębiorstwo. 27 listopada 1965 roku ukazało się Zarządzenie nr 64 Prezesa Rady Ministrów, które mówi, że prace plastyczne winny podlegać ocenie pod względem artystycznym i wycenieniu kosztów projektu i wykonania. Zarządzenie to ma na celu uporządkowanie rynku plastycznego i w dużej mierze mogłoby pomóc w tym niełatwym zadaniu.

J. A. Mogłoby? To znaczy nie pomaga?

T. C. Tylko częściowo. Niestety, jest zaskakująca zupełnie lekkomyślność, z jaką kierownicy przedsiębiorstw i instytucji starają się o tym zarządzeniu nie wiedzieć i zlecają prace plastyczne ludziom nie mającym do tego żadnego przygotowania.

J. A. Czy Delegatura PSP ma w dyskusji na ten temat jakieś ututy, które mówią, że racja jest po jej stronie?

T. C. Chyba sporo. Od lat współpracujemy ściśle ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków. Pracują z nami architekci, członkowie SARP. Zrealizowaliśmy dotychczas wiele prac, które zyskały pochlebny na ogół opinię. Zrealizowaliśmy wiele wewnątrz zakładów gastronomicznych i sklepów, w tym również na wsi. Chcę przypomnieć, że za pośrednictwem naszej Delegatury realizowane były prace z zakresu architektury wnętrz w rzeszowskim Domu Sztuki, zamczek romantyczny w Łańcucie, dobiegają końca prace przy wielkim zakładzie gastronomicznym w Iwonicy-Zdroju. Robiliśmy rzeszowski Cristal. Nasi malarze wykonali szereg kompozycji architektonicznych, m.in. na dworcu PKP w Rzeszowie, w pływalni WOSTiW Bieszczady. Szereg materiałów informacyjnych, tablic, oznakowań obiektów turystycznych, jakie wprowadził na najruchliwszą trasę turystyczną rzeszowski WOI, realizowano również za pośrednictwem PSP. Według naszej oceny wprowadzają one do informacji pewien porządek, przejrzystość i są chyba najlepszym argumentem przemawiającym za takim właśnie rozwiązaniem spraw informacji turystycznej.

J. A. Oczywiście, że jest tylko niewielki wycinek pracy prowadzonej przez PSP w zakresie architektury wnętrz, grafiki użytkowej i wystawienniczej. Interesuje mnie dyskusowana szczególnie w ostatnich zwłaszcza miesiącach sprawa upamiętnienia miejsc walki i męczeństwa narodu polskiego.

T. C. Istotnie. Plastyki rzeszowscy włączyli się w tę akcję już od szeregu lat. Delegatura nasza realizowała również szereg prac z tego zakresu. Uważamy, że nie powiedzieliśmy tu jeszcze wszystkiego, że udział naszego Przedsiębiorstwa w rozwinięciu tej akcji znacznie się rozszerzy i obejmie również sprawy nie tylko projektu i wykonawstwa, ale również merytorycznej oceny licznych prac wykonywanych w czynie społecznym przez poszczególne organizacje i środowiska. Chodzi nam przecież wszystkim o to, by były to pomniki czy tablice o właściwej wartości estetycznej.

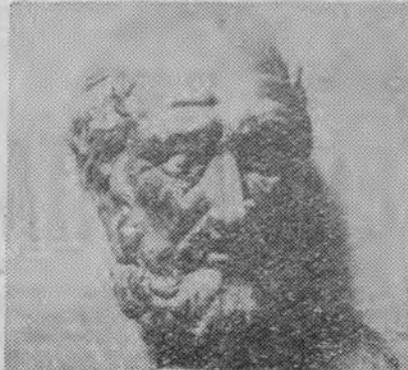
J. A. I ostatnie pytanie. Sporo się mówi ostatnio o podniesieniu stopnia organizacyjnego rzeszowskiej Delegatury PSP do rangi Oddziału. Jest to postulat wysuwany przez Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków.

T. C. ...Nie tylko Związku Plastyków. Chciałbym poinformować czytelników „Widnokragu”, że zainteresowane tą sprawą są władze polityczne i radzieckie naszego województwa. Żywo interesuje się tymi problemami sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Stanisław Ryba i wiceprzewodniczący Prezydium WRN w Rzeszowie Mieczysław Kaczor, którzy wystąpili w tej sprawie z pismami do władz naczelnych PSP. Nie jest to jakby się wydawało, sprawa tylko formalna, ale dotyczy właśnie prawidłowego uformowania tych wszystkich spraw, które są przedmiotem tej rozmowy.

Myślę, gdzie sporo spraw z zakresu plastyki zostało już rozsądnie uregulowanych również i ta doczeka się pomyślnego finału.

W międzyczasie czekamy jeszcze na rozstrzygnięcie sprawy lokalowej dla dzisiejszej Delegatury, a jutro być może Oddziału. Jak wiadomo, obecnie mieścimy się w jednym pokoiku przy ulicy Obrońców Stalingradu 9. Z chwilą poszerzenia funkcji przedsiębiorstwa lokal ten, ciasny dziś, będzie wtedy absolutnie niewystarczający. Jesteśmy w stanie zaadaptować lokal nie użytkowany dotąd przez innych użytkowników. Mamy na to środki, możemy mieć projekty. Sądzimy, że władze miejskie nam w tym pomogą. Jest to w ostatecznej konsekwencji nie tylko nasza środowiskowa sprawa, ale również sprawa rangi miasta, w którym żyjemy i dla którego chcemy pracować.

Rozmawiał: A. Jakubowicz



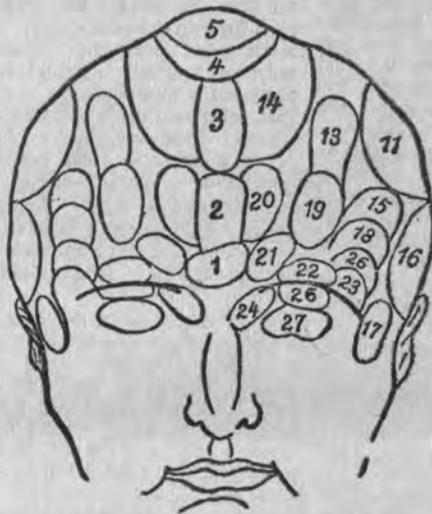
Punkt przyjęć w komizm ◆ Czynny tylko w sobotę i niedzielę

HASŁO TYGODNIA

W WOLNYCH CHWILACH MACNIJ SIĘ W GŁÓWKĘ!

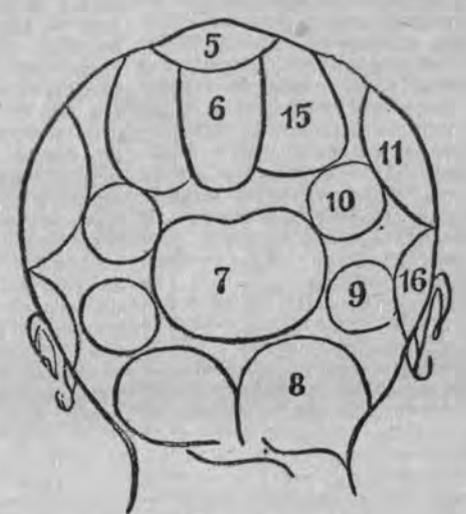
Zasady frenologii

Od wieków ludzie starają się dopatrywać w budowie czaszki śladów związku z inteligencją czy poszczególnymi uzdolnieniami. Zbudowano w tym kierunku szereg różnych teorii popartych mniej lub bardziej zasłużonymi nazwiskami ich twórców, wszystkie one jednak nie przyniosły dotychczas rzeczywistych wartości.



Świeczka i ogarek

10. Filantropia
11. Melancholia, brak decyzji
12. Próżność, miłość własna, chęć zaszczytów i honoru
13. Zamiłowanie do piękna i egzaltacji
14. Talent do naśladowań
15. Skąpstwo, zazdrość
16. Umysł dziki, nieokiełznany
17. Zdolność do mechaniki
18. Finezja, złośliwość
19. Zimna krew
20. Głęboki umysł
21. Umysł niestały, zamiłowanie do podróży
22. Dobry smak



Założeniem frenologii jest teza, że wyraźne wysklepienie kostne jakiegoś miejsca na czaszce powoduje równoległe dobre wykształcenie mózgowe odnośnych cech psychicznych. Z wypukłości zatem na czaszce zależnie od jej położenia można wysnuwać odpowiednie wnioski o uzdolnieniu, o właściwościach charakteru oraz o przyrodzonych właściwościach danego osobnika. Na zamieszczonym rysunku różne części czaszki oznaczone są liczbami, którym odpowiadają charakterystyki zestawione na poniższej tabelce frenologicznej. Charakterystyki te przedstawiają się następująco:

1. Jasny umysł.
2. Żyłka prawnicza, zamiłowanie do porównań.
3. Moralność, słodycz w obejściu.
4. Religijność.
5. Wierność, umysł rezolutny.
6. Arogancja, despotyzm, słabość do egzaltacji.
7. Miłość ogniska domowego.
8. Zmysłowość.
9. Brawura, zamiłowanie do ruchu i dyskusji

23. Zdolności matematyczne
 24. Pamięć mimiczna twarzy
 25. Wymowa, łatwość retoryczna
 26. Muzykalność
 27. Zdolności do języków
- Zyczymy przyjemnej zabawy.

Wiosna

(Ogłoszenie w „Płonie” 15 IV br.)

Ślimaczki winniczki obudziły się z zimowego snu.

W Polsce nie jadane —

są przysmakiem Francuzów

W lasach rosną już grzyby

piestrzenice (babie uszy)

Nie jedzcie ich —

silnie trujące

są cennym surowcem eksportowym

Zbierajcie je wszyscy!

Punkty pozyskania „Las”

przyjmą każdą ilość

LABOGA NIE TRUJCIE... IMPORTERZY

TEŻ LUDZIE!

Wiosenny wiatr

Fot. CAF



Kurs dla kandydatów na „gwiazdy” sceny, ekranu i TV

PWST w Krakowie organizuje w lipcu br. miesięczny obóz eksperymentalny dla uczniów z klas dziesiątych, którzy zamierzają w przyszłym roku starać się o przyjęcie do wyższych szkół teatralnych.

Potencjalne „gwiazdy” sceny, ekranu i tv na zajęciach o charakterze seminaryjnym zapoznają się z podstawowymi zagadnieniami z zakresu przedmiotów teoretycznych i praktycznych wykładanych w szkołach teatralnych, sprawdzone zostaną także ich zdolności aktorskie. Zajęcia prowadzone przez pedagogów PWST w Krakowie zakończone zostaną egzaminem. Ci, którzy zdadzą go z wynikiem pomyślnym przez cały przyszedły rok szkolny korzystać będą z konsultacji i seminariów przygotowujących ich do egzaminu wstępnego.

Ekonomia na niedzielę

Świeże powietrze na sprzedaż

„Szczęściem wzbiera miejskie łono, gdy trawkę widzi zieloną” — dawno już zauważył Boy, a w latach ostatnich zafascynowanie wypoczynkiem poza miejskimi murami stało się zjawiskiem wprost powszechnym, proporcjonalnym do postępów urbanizacji i dorobku społeczeństwa w sferze zdobyczy socjalnych. Czas urlopu jest okresem prawdziwej wędrówki ludów z miast na wieś, z fabryk i biur — na pola, nad jeziora do lasów.

Połowa obywateli, szesnaście milionów z grubszą licząc, mieszka w miastach. Jeśli policzymy obywateli całego kraju spędzających urlop w domach wczasowych (ponad półtora miliona osób rocznie), w domach turystycznych, stanicach, schroniskach, obozowiskach (pół miliona osób z górą), jeśli uświadomimy sobie, że ilość zatrudnionych w gospodarce narodowej, a więc uprawnionych do płatnego urlopu, wynosi około dziesięciu milionów, wówczas zestawienie to wskaże wprost na pierwszy i podstawowy teren wypoczynku — jest nim wieś.

Właśnie w gospodarstwach rolnych, indywidualnych, u osób mieszkających na wsi, spędza wypoczynek znaczna część miejskiego społeczeństwa, zdobywając adresy od znajomych i przyjaciół i układając się z gospodarzami co do ceny wynajmu i wyżywienia.

Zbliża się czas kanikuły, urlopy już zaplanowano i wkrótce poczta zarejestruje ożywioną korespondencję między miastem a wsią. P. Wiśniewski zechce się upewnić, czy p. Wojtera przyjmie go wraz z progeniturą na czas wakacji, czy p. gospodyni podejmie się gotowania obiadów, a jeśli tak — to za ile, a jeśli nie — to kto w sąsiedztwie przygotuje posiłki. Jedni pojedą do miejscowości i ludzi już znanych, inni zaryzykują wyjazd bez rozeznania terenu lub na podstawie opinii znajomych. Większość wyjedzie „pod gruszę” z pełną świadomością zamian względnie dobrych warunków mieszkaniowych, względnie wysokiego standardu technicznego na niższy, przynajmniej pod względem higieniczno-sanitarnym.

Nasza wieś oferuje przybyzom z miasta niemal wyłącznie świeże powietrze i walory krajobrazowe. Do znanych różnic w wyposażeniu technicznym gospodarstw wiejskich i miejskich doliczyć trzeba jeszcze niemal całkowicie brak zainwestowania na-

szej wsi na użytek turystów i urlopowiczów. Pozostawiając na uboczu kwestię niewygod ponoszonych przez ludzi zjeżdżających na wieś po odprężeniu i wypocznym, zajmijmy się tu bliżej gospodarczą stroną skutków słabego przygotowania gospodarstw rolnych do pełnienia funkcji rekreacyjno-wypoczynkowych.

Przykład wielu krajów europejskich wskazuje dobitnie, iż budowa bazy turystyczno-wypoczynkowej na wsi, zainwestowanie gospodarstw rolnych specjalnie na użytek przybyszów z miasta może się stać ważnym elementem polityki rolnej państwa i światowym interesem dla rolników. Wiele wsi francuskich, włoskich, austriackich jest dziś swojego rodzaju mini-kombinatami wypoczynkowymi, dysponującymi stałym zestawem pokoiów lub łóżek gotowych do wynajęcia, indywidualnymi lub spółdzielczymi placówkami socjalno-usługowymi w rodzaju „przechowalni” dla dzieci, czytelników, klubów, placówek zabaw, bufetów, wyciągów, automatów i urządzeń służących rozrywce, wypożyczalni sprzętu turystycznego i warsztatów reperujących ten sprzęt. Wsie goszczące przybyszów z miasta obrósły w usługi rzemieślnicze, ukształtował się wokół nich tzw. mały rynek wiejski, na którym w kramikach, bufetach, kioskach, sprzedawane są produkty żywnościowe. Tak ukształtowana i zorganizowana baza turystyczna zahamowała odpływ ludności, zwłaszcza młodzieży, do miast, podniosła stopień zamożności gospodarstw rolnych. Przykład Austrii świadczy, iż z wypoczynku wiejskiego, dobrze zorganizowanego, korzystają też chętnie cudzoziemcy. Przykłady wszystkich krajów wskazują też, że wiejska baza turystyczna, kwatery prywatne obsługiwane przez własną, tanią siłę roboczą, wytrzymują w pełni konkurencję z wielkimi, wyspecjalizowanymi przedsiębiorstwami i pensjonatami.

Choć nie można adaptować bezskutecznie obcych wzorów i doświadczeń, warto jednakże na nasz użytek stwierdzić, że właśnie zorganizowanie bazy wypoczynkowej w wielu atrakcyjnych rejonach kraju przynieść może tak pożądane zahamowanie „wyludnienia” wsi, podniesienie standardu życiowego i cywilizacyjnego. Pierwsze próby organizowania nowoczesnej bazy wypoczynkowej podjęła „Gromada”, pierwszymi gospodarzami terenu, którzy wystąpili z ini-

cyjatywą na rzecz zagospodarowania terenu na użytek wczasowiczów, jest rada narodowa powiatu cieszyńskiego. Niestety, jak dotąd, są to jedyne jaskółki dostrzeżone na wiejskim horyzoncie. A warto, by wieś znalazła patronów i protektorów zorganizowanego i dobrze przygotowanego wypoczynku. Grupa ludzi szukających urlopowego wypoczynku w warunkach bezpośredniego kontaktu z przyrodą, z namiotem i przy ognisku, jest stosunkowo nieliczna, a i ci świadomi amatorzy prymitywnej rady by widzieć w odległości bliższej lub dalszej warstwy rzemieślnicze dla naprawy sprzętu, przygotowane łóżka pod dachem na wypadek dłuższej niepogody. Większość „mieszczuchów”, zwłaszcza rodziny z dziećmi, poszukuje na wsi nie tylko świeżego powietrza, ale i zaplecza kulturalno-usługowego i gotowa jest płacić za tego rodzaju usługi. Więc warto by może pomyśleć o śmielszym niż dotąd propagowaniu sprzętu technicznego dla gospodarstw wiejskich (zwłaszcza lodówek), rozwinięciu produkcji odpowiednich urządzeń, uruchomieniu kredytów i ułatwień w ratalnych zakupach wyrobów trwałego użytku. Świeże powietrze można z pewnością lepiej sprzedawać niż dotąd.

M. B.

Technokrata o literaturze

Technokratą stał się wbrew woli, a nawet prawdziwą ambicją Francois Fontaine'a było stać się pisarzem. Ponieważ jednak wydawcy nie przyjmowali jego manuskryptów, od kilkunastu lat rozpoczął kampanię przedwiołową działalności wydawniczej, zarzucając im „industrializację” prowadzącą do upadku literatury francuskiej. Można, oczywiście, zgadzać się lub polemizować z tą tezą, ale problem poruszony przez Fontaine'a w niedawno opublikowanej książce „Literatura pod miotłkiem”, w której zebrał 29 swoich esejów na ten temat, wzbudziła żywe zainteresowanie zarówno w kręgach literackich, jak i wydawniczych Francji.

W sprawie przez niego poruszonej zabiera głos na łamach „Monde” znawca problematyki literatury i wydawnictw — Robert Escarpit.

Escarpit tak streszcza tezę Fontaine'a: Francja współczesna nie ma literatury. Jest to sprawa nie od dziś. Od czasów Zola, Francja nie wydała wielkich pisarzy, jakkolwiek do drugiej wojny światowej byli u nas znani pisarze. Mauriac i Malraux to ostatni przedstawiciele tej grupy.



Wiosna i święta nie sprzyjają telewizji; ucieka się w świat naturalnej piękności, ze zmęczeniem myśli o jakichkolwiek ocenach, sądach, odsądzeniach od czci i wiary w potęgę ekranu. Po powrocie do codzienności człowiek ze zgrozą zastanawia się, z czego ulepić telewizyjne 7 dni; buntuje się, nie lepi więc, a pozwala sobie zanalizować raz do roku własne spojrzenie na telewizję, wziąć pod uwagę sądy czytelników i stojąc pośrodku — przemysleć jedno, zasadnicze w działaniu telewizji pojęcie — upowszechnienie. Wielkie, bez precedensu, niemożliwe dla innych środków masowego przekazu, imponujące w zakresie szerzenia podstaw kultury i oświaty.

Wszyscy wszak mamy nasze własne propozycje pod adresem telewizji i wszyscy ją oceniamy z tego przecie a nie innego punktu widzenia. Ileż to listów od czytelników się nacytalam, gdzie były zarzuty, zarzuty, zarzuty. Wytaczali w nich argumenty natury dydaktyczno-społecznej, protesty przeciwko miernocie artystycznej, przeciw naiwności publicystyki, przeciw niewydarzonym programom ekonomicznym, przeciw... Sympatia dla zawodu dziennikarskiego, którą z obowiązku bodaj mieć muszę, skłania mnie do powstrzymania się przed wymianianiem ich wszystkich. I ta sama sympatia, każe mi uczciwie zadać pytanie: skoro tyle zlego, dlaczego z wybiciem godziny 16 minut 55 otwieramy pudło na pierwszy, skromniutki, popołudniowy dziennik, a później nader często patrzymy jak leci ta reszta pięciogodzinnego programu? Po cóż przyzwalamy na to zło-dziejstwo czasu dobrowolne, kiedy coraz częściej narzekamy, że nie będziemy go mieli pod dostatkiem nawet na umieranie?

Telewizja jest bowiem sztuką odbioru ułatwioną; za nas czyni wysiłek dopasowania słowa i obrazu do każdej mentalności; pewne rzeczy przeto świadomie musi upraszczać.

Znakomity aktor, Jan Świdewski, którego dzięki telewizji właśnie zna cała Polska, wyznał w traktacie o teatrze telewizyjnym, drukowanym w Miesięczniku Literackim, że pożera go strach przed upraszczaniem, przed wulgaryzowaniem treści

dramatycznej, przed dopasowywaniem jej do wymogów małego ekranu. Wielu wybitnych aktorów i reżyserów podziela ten pogląd. Wielu inteligentnych telewidzów także po cichu zaczyna odczuwać znużenie teatrem nadmiernie uproszczonym. Ale — i oto druga strona medalu — czyż nie piękna i pożyteczna rzecz, w imię której warto akceptować ten rodzaj teatru telewizyjnego — jest dyskusja nad sztuką np. w klubie fabrycznym w Sarzynie, w klubie Rolnika w Domaradzu, czy Domu Kultury w Brzozowie. Nawet jeśli to nie jest spektakl z repertuaru „teatru ogromnego”, nawet jeśli to jest przesadne uproszczenie — cele tych niepozytywnych dla pojęcia teatru czystego przesłanek są fascynujące, a wynikiłki propagowania sztuki scenicznej — powszechne i trwałe.

A teraz dzienniki, czyli masowa, szybka informacja. Też na nią narzekamy; też protestujemy, przeciw nadmiarowi gadulstwa, nieopartego obrazem filmowym, nudzi nas informacja typu „ktoś otworzył”, „ktoś przeciął wstęgę”; ale — i tu znów przeciwuważa — iluż obywateli w Polsce właśnie poprzez dzienniki tylko zdobywa pierwszy szlif z zakresu polityki międzynarodowej; iluż zawdzięcza tej właśnie półgodzinnej relacji o wydarzeniach jasny sąd o sytuacji społeczno-politycznej, zwłaszcza, gdy przychodzi czas nasilenia zainteresowań sprawami kraju, jak to miało miejsce w ostatnich tygodniach. I choć zrywamy się, że mogłaby być ta informacja bardziej pełna, własna, choć większe zainteresowanie wzbudziłby komentarz wychodzący spod pióra dziennikarza telewizyjnego (problem konfrontacji prasy i telewizji) — to jednak w przypadkach miejscowości, do których prasa dociera z kilkudniowym opóźnieniem, jest ten dziennik jedynym źródłem sprawdzionej, rzetelnej wiedzy o świecie.

I raz jeszcze wypada mówić o oświacie w telewizji; nieprawdą jest bowiem twierdzenie wielu moich czytelników — że telewizja — to rozrywka. Zresztą oświata w telewizji może być także rozrywką. Przykłady prof. Zina i Białostockiego, wielkiego muzyka Bernsteina, który rok temu prowadził pasjonujący cykl rozmów o muzyce, magazyn „Eureka”, który jest swoistą science-fiction dla człowieka nie mającego kontaktu z techniką — to ten typ programów, gdzie momenty emocjonalne występują silniej, aniżeli np. przy rozrywkowej satyrze pani Grodzkiej...

Dział tu jednak trochę zły woli telewidza, który zawsze otworzy telewizor, gdy śpiewa Rena Rolska, długo się jednak zastanawia, czy otworzyć, gdy znajdzie nieatrakcyjny tytuł „Wszechniczy Telewizyjny”. Dlatego nie od rzeczy byłoby przypomnieć stare hasło, że upowszechnienie wartościowej treści tym szybciej dotrze do widza, w im atrakcyjniejszą formę się przyoblecze...

KRYSTYNA



Również o przyjaźni wielkiego malarza ze znanym pisarzem Emilem Zolą. Autor książki jest nam znany jako twórca „Zycia van Gogha”.

Leszek Moczulski: MIECZ NIBELUNGÓW. Zarys historii armii pruskiej i niemieckiej 1618—1967. MON, s. 424, cena 24 zł.

Książka popularnonaukowa. Tytuł zaczerpnięty z krwawego mitu starogermańskiego, z „Pieśni o Nibelungach”. Książka jest syntezą politycznych dzieł pruskiej i niemieckiej armii. Trzysta lat jej dzieł do pasmo wojen i zniszczenia wielu krajów, to wojna francusko-pruska, I i II wojna światowa, to marzenia o trzeciej. Łączność tej armii z finansjerką, z nacjonalizmem. Stosunki z NATO.

Ignacy Blum: Z DZIEJÓW WOJSKA POLSKIEGO W LATACH 1944—1948. Szkice i dokumenty. Wyd. II, popr. i uzup. MON, s. 388, cena 30 zł.

Książka pokazuje rolę WP w umacnianiu władzy ludowej w latach 1944—1948, w walce z bandami UPA, w wielkich akcjach politycznych i w odbudowie kraju. Dla nas szczególnie interesujące rozdziały mówiące o walkach z reakcyjnym podziemiem, bo dotyczy w dużej mierze naszego województwa.

Witold Zaleski: ODMIANY NADZIEI. KIW, s. 210, cena 10 zł.

Śladem szkiców z podróży pisanych w latach 1960—1967. Głównie Francaja

i kraje z nią związane. Również o OAS.

Frantisek Hrubia: ZŁOTA RENEZA. Tłum. A. Siczkowski. PIW, s. 121, cena 10 zł. Biblioteka Jedności.

Mało znany w Polsce czeski pisarz współczesny. Próbowal sił w poezji i dramacie. Para się również prozą. „Złota renesa” zawiera wiele akcentów autobiograficznych. Fabuła wieloletnia. Od ostatniej wojny aż po kosmos. Równocześnie obawa przed atomową zagładą. Nielatwa w odbiorze, ale ciekawa proza.

Sławomir Sieracki: GROBOWIEC WIELKIEGO SZAMANA. Wyd. Morskie, s. 148, cena 10 zł.

Autor wielu książek przygodowych i tym razem nie zawodzi czytelników. Przygoda rozgrywa się w Mongolii, który to kraj fascynuje pisarza. Obok wątku sensacyjnego garść faktów z przeszłości i teraźniejszości mało u nas znanego kraju.

Witold Kleżun: DYREKTOR. Z problematyki zarządzania instytucją (na przykładzie banku). KIW, s. 450, cena 45 zł. W serii: Biblioteka Nauki o Pracy.

Praca naukowa. Stara się w niej autor odpowiedzieć na pytania, jakie są i powinny być główne obowiązki kierownika, jakie są obecnie warunki organizacyjne sprzyjające wykonywaniu ich.

Hanna Namonowicz: LOSY ŻYCIOWE NIELETNICH PRZESTĘPCÓW. Psychologiczne badania nad prognoszą kryminologiczną. Wyd. Prawnicze, s. 152, cena 25 zł.

Ewa Lach: KRYPTONIM CZARNA MORWA. Czytelnik, s. 375, cena 20 zł. Pozycja młodzieżowa. Przygoda z morałem.

John Meade Falkner: DIAMENT MOHUNA. Przekł. A. Nowicki. Iskry, s. 244, cena 18 zł.

Pełna przygód historia, której tło stanowi osiemnastowieczna Anglia. Młodzieżowa.

Władysław Bąk: SPOWIEDŹ. Iskry, s. 80, cena 10 zł. Cztery utwory.

Juliusz Znamierowski: DUŻY KARBALUCH. Wyd. Poznańskie, s. 194, cena 13 zł. Powieść o morzu i rybakach.

Czesław Schabowski: WIELKA ZATOKA. Opowiadania. Wyd. Poznańskie, s. 172, cena 12 zł. Również pozycja związana z morzem.

Władysław Dunarowski: WIECZORNA OPowieść. Wyd. Poznańskie, s. 162, cena 12 zł. Opowiadania współczesne.

Tadeusz Zeleni (Boy): REFLEKTOREM W SERCE ROMANSE CIENIÓW. Wrażenia teatralne. Pisma tom XXV. PIW, s. 752, cena 40 zł. W serii wydawanej już od kilkunastu lat.

Bolesław Prus: FARAON. Wyd. XVII. PIW, s. 610, cena 50 zł.

Kolejne piękne albumowe wydanie znakomitego dzieła polskiego pozytywisty. Ilustrował je Jan Marcin Szancer. Książka ta spopularyzowana przez film spotyka się z przychylnym przyjęciem czytelników.

Henri Perruchot: CEZANNE. Przekł. K. Byczewska. PIW, s. 456, cena 40 zł. Wyd. II.

Duża jest obecnie popularność tego znakomitego malarza — Impresjonisty. Książka Perruchota oparta jest na dokumentach, ale niewątpliwym talent literacki autora sprawia, że czytelnik się ja jak powieść. Jest to również zasługa dla obyczajowego tej ciekawej epoki. Nie bez znaczenia są losy samego malarza, który nie znalazł zrozumienia u współczesnych.

Na naszym ekranie

Wątpa nieć

USA. Kraj, w którym co 2 minuty ktoś usiłuje popełnić samobójstwo. Dla ratowania zrozpaczonych kandydatów na tamten świat założono specjalne poradnie, których zadaniem jest wyperswadowanie zgłaszającym się ich nierozważnego kroku. Dziennikarski reportaż z takiej poradni zamieszczony w ilustrowanym czasopiśmie „Life” posłużył Stirlingowi Silliphantowi do napisania scenariusza filmu „WĄTPA NIĆ” zrealizowanego przez Sydneya Pollacka.

Pollack należy do nowego narybku hollywoodzkiego, jest jednym z tych młodych reżyserów, na których liczą amerykańscy producenci. Mają oni zmienić zarówno w treści, jak i formie hollywoodzką produkcję, sprawić, by osiągnęła ona światowy poziom artystyczny. W takich reżyserów, podobnie jak w nowo lansowane gwiazdy filmowe finansowani magnaci Hollywoodu ładują mnóstwo dolarów w myśl kapitalistycznej zasady „Tylko pieniądź rodzi nowy pieniądź”.

Tak zrobiła również wytwórnia „Paramount”, pod której skrzydłami zadebiutował Sydney Pollack. Dała mu do dyspozycji duże środki finansowe i techniczne, dała możliwość wyboru znakomitych aktorów, oczywiście w nadziei, że wszystkie koszty zwrócą się z nawiązką.

Czy debiutant spełnił te nadzieje?

Wydaje się, że tylko częściowo. „Wątpa nieć” bowiem tylko zapowiada interesującego, ambitnego reżysera, sama jednak pełnym sukcesem nie jest. Pewne wyraźne słabości tego filmu dowodzą niedoświadczenia jego twórcy albo są przejawem kompromisu ze staromodnymi konwencjami filmu amerykańskiego. Sam Pollack wydaje się wskazywać na to drugie, oświadcza: „Zadebiutowałem w sposób przyjemny, grzecznie, jak sądzę. Zrobiłem film spokojny, nie siląc się na fajerwerki inwencji”. Niestety nie można zapisać ani tych słów, ani pewnych poczynań reżysera w filmie na jego dobro.

Oto „Klinika samobójców” w mieście Seattle w stanie Waszyngton. Dyżurny, student ostatniego roku psychologii, odbiera telefon od ludzi, którzy chcą skorzystać z usług poradni. 60 proc. tych telefonów — to sprawy bzdurne, takie jak np. paplania jakiegoś fryzjera, który — urzędując w sztok — po prostu szuka kogoś z kim

można by pogadać. Ale nagle w słuchawce słychać głos, który zaniepokoił studenta. Dzwoni kobieta, która przed chwilą zażyła śmiertelną dawkę trucizny. Także chce porozmawiać, ale tylko po to, by skrócić sobie oczekiwanie śmierci. Nie chce powiedzieć skąd dzwoni, nie chce żadnej pomocy. Chce tylko zabić resztę czasu, jaka jej pozostała. Później, ujęta troskliwością i niepokojem studenta, zwierza mu się ze swoich przeżyć, które doprowadziły ją w końcu do desperackiego kroku.

Dyżurny uruchamia wszystkie, by uratować samobójczynię. Robi to nie przerywając rozmowy, bo zerwanie tego kontaktu udaremniłoby wszystkie usiłowania. Poczta usiłuje zatem odnaleźć numer telefonu, z którego dzwoni kobieta, policja przeszukuje miasto, próbuje znaleźć męża samobójczyni.

Film trwa około 110 minut: 45 minut rozmowy telefonicznej, 45 minut retrospekcji i 15 minut innej akcji. Zdecydowanie najlepsze są sceny z rozmowy i one właśnie pozwalają nam określić debiut Pollacka jako interesujący. Aktorzy są tu znakomici, prawdziwy koncert gry daje murzyński aktor Sydney Poitier. Bardziej niewdzięczną rolę dostała równie świetna aktorka Anne Bancroft, która jest w tym filmie po prostu niewykorzystana. Krytyka zachodnia zarzucała zresztą Pollackowi pokazanie w filmie postaci samobójczyni, twierdząc, że lepiej byłoby, gdyby widział słyszał jedynie jej głos, resztę zaś dopowiadałaby mu jego indywidualna wyobraźnia.

Nie podejmując tego zarzutu, zgodziłbym się z innym, dotyczącym nadmiernego rozbudowania retrospekcji, owej historii życia samobójczyni, która opowiedziana jest jednak w tradycyjnym, momentami nieznośnym hollywoodzkim stylu. Tu „grzeczność” reżysera wobec tego stylu była nadmierna, osłabiła wartość artystyczną jego utworu. Wydaje się, że nierozwlekane wątków przeszłości, większa dyscyplina twórcy, wyszlaby na dobre temu filmowi. A może rzeczywiście — jak twierdzą niektórzy — jego scenariusz bardziej nadawałby się na słuchowisko radiowe czy telewizyjne?

(sz.)

„WĄTPA NIĆ”. Reżyseria: Sydney Pollack. Zdjęcia: Loyd Griggs. Muzyka: Quincy Jones. Grają: Sydney Poitier, Anne Bancroft, Telly Savalas, Steven Hill, Janet Dudley, Indus Arthur i inni.



Na ekranach naszych kin wszedł nowy polski film, komedia „Poradnik matrymonialny” w reżyserii Włodzisław Haube.

Na zdjęciu: Andrzej Łapicki w jednej ze scen filmu.



MARIAN KONOPACKI

— ARTYSTA RZEBIARZ

rys. J. SIENKIEWICZ

Jest taka młodzież

(Ciąg dalszy ze str. 1)

poteoży mądrości politycznej młodzieży, prowadzącym do przeciwstawienia jej dorosłym, w których rękach znajdują się losy kraju.

Młodzież akademicka jest — oczywiście — bardzo różnicowana. Są wśród niej jednostki żywe i niezdyscyplinowane, są posłuszne i uległe. Są tacy, którzy wiedzą, co to jest koniunktura i tacy, którzy wybierają drogę sprzeciwu. Są politycznie obojętni i politycznie zaangażowani po stronie socjalizmu. Są również i tacy, którzy stają po stronie przeciwnego obozu... Ale w swym zasadniczym trzonie młodzież akademicka jest z pewnością głęboko patriotyczna. Nie wątpię, iż gdyby nadeszła kiedykolwiek trudna godzina wojennej próby, młodzież ta, o której mówi się często, iż jest cyniczna i obojętna, bronilaby swej ojczyzny z odwagą i determinacją, jakie cechowały zawsze liczne pokolenia polskiej młodzieży.

Być może — na szczęście — nie nadejdzie godzina wojennej próby i młodzież ta będzie mogła złożyć dowody swego patriotyzmu w pokojowym życiu. I będzie je składała, uczestnicząc w kształtowaniu socjalistycznej cywilizacji w Polsce. Startując z poziomu osiągnięć pierwszego ćwierćwiecza nowego etapu polskiej historii, troszczyć się ona będzie o te wartości, które — jak można sądzić — są dla niej najbardziej cenne. O fachowość działania, opartą na postępie nauki i techniki, o racjonalną sprawność w organizacji pracy i w systemie zarządzania, o kon-

sekwentnie realizowany program socjalistycznej sprawiedliwości i równości, o surową prostolinijność w ocenach moralnych, o uczciwość w międzyludzkich stosunkach i zależnościach.

Ta młodzież — myśląca, krytyczna, trzeźwa — nie lubi hasła bez pokrycia, bierze za dobrą monetę to wszystko, co się składa na socjalistyczną cywilizację i konsekwentnie pragnie kształtować życie w ten sposób, by sprawdziły się w nim zasady, iż nauka staje się siłą twórczą, iż warunki społeczne zapewniają ludziom coraz bardziej wszechstronny rozwój i kształtuje na coraz wyższym poziomie zasady i formy współżycia, iż patriotyzm i internacjonalizm pozwalają w nowy sposób ułożyć międzynarodowe stosunki.

Z tego punktu widzenia jest dobrym prawem tej młodzieży dyskutować nad naszą teraźniejszością i nad perspektywami jej rozwoju. Wszystkie wysiłki wychowawcze domu, uczelni, organizacji młodzieży temu właśnie służyć powinny, by młodzież ta mogła coraz bardziej świadomie i racjonalnie widzieć przyszłość swego narodu i własne swe miejsce w tej przyszłości. Ale u podstaw tego wychowawczego działania leży przekonanie, iż „jest taka młodzież” — patriotyczna i socjalistyczna, godna zaufania i zasługująca na rozumną opiekę, chroniącą przed demagogicznymi inspiracjami i prowokacją, młodzież wierna historii, która wprowadziła nasz nagród na nową drogę rozwoju.

(WIT-AR)

ZDARZENIA I YGODNIA

Już w niedługim czasie cały kraj będzie obchodził tradycyjne, wiosenne święto kultury polskiej — Dni Oświaty, Książki i Prasy. W ubiegłą środę powołano w Rzeszowie Wojewódzki Komitet Organizacyjny Dni, które w tym roku trwać będą od 3 do 19 maja, a na wsi do końca miesiąca. Na czele stanął zastępca przewodniczącego Prez. WRN Mieczysław Kaczor, zastępcą wybrano sekretarza WKZZ Józefa Woźniaka.

Jak wynika z planów przedstawionych przez zainteresowane instytucje i placówki, podczas obchodów tegorocznego święta prasy i książki szczególna uwaga zostanie zwrócona na młodzież i jej patriotyczne wychowanie. Szeroko zostanie rozpropagowana literatura społeczno-polityczna, będąca kluczem do wiedzy o świecie, kraju i człowieku. Założenia programowe zmierzają również do szerokiego spopularyzowania roli, jaką spełnia w codziennym życiu oświata.

Ostatnio komitet organizacyjny i Ogólnopolskich Spotkań Teatralnych „Teatry Robotnicze — Ludziom Pracy” ustalił szczegółowy program. Przy okazji przypominamy, że impreza odbędzie się w Stalowej Woli, a jej organizatorem jest Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych w Rzeszowie. A oto szczegóły:

12 MAJA

Teatr Amatorski ZDK Huty „Stalowa Wola” — „Czapajew” Furmanowa, Studio Ruchu i Gestu Klubu Młodego Rzemieślnika we Wrocławiu — „Krag”, Teatr Słowa ZDK WSK Rzeszów — „Szopka Rzeszowska — 1968 r.”.

13 MAJA

Teatr Poezji Klubu Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie — „Owocobranie” R. Tagore, Zespół „Mikstura” Szpitala Psychiatrycznego w Abramowicach, „Beethoven nieboszczyk i inni” Pawłowej.

14 MAJA

Teatr Operowy Klubu ZPS im. Armii Ludowej w Łodzi — „Trzewiczki” (opera ludowa) P. Czajkowskiego, Studium Pantomimy Fabryki Mechanizmów Samochodowych w Szczecinie „A... B... C... Isabelle” Wernera, Teatr Publikacyjny przy Międzyzakładowym Klubie Przemysłu Spożywczego w Piotrkowie Trybunalskim — „Raport z Monachium” A. Brechta.

15 MAJA

Teatr Problemowy Międzybranżowego Domu Kultury „Energetyk” w Łodzi „Golgota audytorium” według W. Sławińskiego, Teatr Nauczycielski „Propozycja w Chorzwowie — „Punkt zwrotny” Odolewskiego.

16 MAJA

Morski Dom Kultury, Nowy Port — Gdańsk — „Swinopas” według Andersena, Teatr Estradowy ZDK ZPB im. Bojowników Rewolucji 1905 r. w Pabianicach — „Począdam” M. Turskiego, Teatr Poezji „Bademus” Międzyzakładowego Klubu Gospodarki Komunalnej w Rzeszowie — „Niepokoję” M. Hillar i T. Rózewicza.

17 MAJA

Kabaret „Yeti” Klubu „Mercury” w Kleckach — „Szopka V”, Teatr Dramatyczny ZDK Kopalni Grodziec — „Spadkobierca” Grzymały-Siedleckiego, Estrada Poetycka ZDK Huty im. Lenina — „Montaż poezji Baczyńskiego”.

18 MAJA

Teatr Dramatyczny Międzyzakładowego Domu Kultury Włókniarzy w Łodzi — „Tania” A. Arbuzowa.

W ubiegły czwartek odbyło się, zorganizowane przez WKZZ, seminarium dla aktywu społecznego komisji oświaty zarządów okręgów związków branżowych, rad zakładowych i placówek kulturalnych.

Uczestnicy wysłuchali m. in. informacji na temat sytuacji politycznej PRL w aspekcie najważniejszych wydarzeń w świecie oraz wykładu na temat głównych kierunków pracy kulturalno-oświatowej i wychowawczej komisji zarządów okręgów i rad zakładowych oraz rad społecznych. Na wniosek kierownika ZDK głogowskiej „Lniarki”, Eugeniusza Flaka, zebrani uchwalili rezolucję, skierowaną do KC PZPR, w której dano wyraz obywatelskiej postawy oraz przywiązania do partii i jej kierownictwa z tow. W. Gomułą na czele.

Z okazji tegorocznych „Dni Rzeszowa” rzeszowski Okręg Związku Polskich Artystów Plastyków organizuje kolejną wystawę malarstwa, grafiki i rzeźby.

W ubiegłą środę komisja kwalifikacyjna dokonała oceny nadesłanych 74 prac, z których 57 trafi na ekspozycję (23 obrazy, 29 grafik i 5 rzeźb).